

## LIŚCIE NA WIETRZE c.d.

### Niekończąca się podróż

Zaczęło się palić w „kozio” i wkrótce miłe ciepło nappełniło obskurny wagon. Dziura była zatkana, parawan zrobiony. Od rozgrzanego pieca ściany tajały i ściekała po nich woda, ale mogliśmy się nareszcie położyć na pościelonych narach, przykryć pierzynkami i czuć pod głową nasze mięciutkie jasieczki. Jakie to szczęście że mama je wzięła.



Mama – Stefania Tais, 1940

Była pyszna gorąca zupa. Już nie pamiętam jaka, ale wiem, że nigdy nic mi tak nie smakowało. Po tak długim pobycie na „suchym” ta wspaniała zupka wydała się najlepszą potrawą na świecie. Wraz z drugą rodziną zajęliśmy dolną pryczę. Byli to starsi państwo bez dzieci. Wydawali mi się

nadzwyczaj dystyngowani i kulturalni. Okazali się mieszanym małżeństwem: ona - Rosjanka, on - Polak. Odnosili się do siebie z wielkim szacunkiem i kulturą. On chyba był sędzią, ona zaś panią przy mężu. Ich rozmowa niezmiernie nas, dzieci, bawiła i śmieszyła: pan mówił wolno i pięknie po polsku, a pani odpowiadała nie mniej pięknie i dobitnie po rosyjsku. Przysłowiowa stała się ich rozmowa po obiedzie. Pani pytała: *Nu kak, wkusnyj sup?*, a pan odpowiadał: „Tak, smaczna zupka”, albo *Choroszyj obied?*, a pan: „Tak, dobry obiadek”. Rozmowę prowadzili zawsze w dwu pięknych językach.

Pryczę nad nami zajęła rodzina z dwoma, dość dziwnymi córkami i chorą ciotką, która siedziała w kucki owinięta kocami i ciepłymi chustami; bez przerwy kiwała się i cicho jęczała. Ciotka ani razu nie zesłała na dół... Dowiedziałam się, że była nienormalna, co miało dla nas fatalne skutki.

Na razie nasze brzuszki były pełne, a miłe ciepło nastrajało radośniej, więc podśmiewaliśmy się ukradkiem (aby mama nie zauważyła) z chorej kobiety.

W nocy poczułam jak coś kapie mi na głowę. Zerwałam się i zaczęłam krzyczeć. Ktoś zapalił latarnię i gniewnie mnie uspokajał. Mama też zapaliła latarnię i okazało się, że to ciotka załatwia się pod siebie. Nie było takiej siły, aby zmusić ją do pójścia za „parawan”. Wybuchła awantura. Mama wycierała śniegiem pościel i poduszki, co mogła suszyła przy „kozio”. Tato zaproponował zamianę na prycze, ale ci z góry nie zgodzili się. Po pewnym czasie cała nasza pościel przesiąknięta była uryną, gdyż „ciotka” regularnie, dwa-trzy razy na dobę, załatwiała swoje potrzeby na pryczy. Tato podbił „sufit” swoim prochowcem, ci z góry też ścielili coś pod chorą kobietę, ale nie na wiele to się zdało.

Naprzeciwko wegetowały cztery rodziny na dwóch pryczach i pomimo małych dzieci podobna historia nie zdarzyła się im.

Po kilku dniach bezruchu lokomotywa zniecka szarpnęła gwałtownie, gorące garnki pospadały z „kozy” parząc tych, co stali bliżej pieca. Potem rozległ się przeciągły, żalony gwizd i pojechaliśmy na wschód.

Prócz nieporozumień z nieszczęsną „ciotką”, większych zdrażeń nie było. Mimo nieludzkich warunków, straszliwych niewygód, jednej „kozy”, na której po kolei mamy gotowały posiłki, poważniejsze scysje nie wybuchały. Wszyscy odnosili się do siebie ze zrozumiałym spokojem. Ludzie jechali cisi, zamyśleni i smutni. Jeżeli było czasami słychać śmiech, to śmiały się dzieci, bo dzieci zawsze są dziećmi i nie umieją się ciągle martwić jak dorośli.

Niestety z powodu „ciotki” nie bawili się z nami inne dzieci, po prostu śmierdziałyśmy. Nie było na to rady. Nikt nie był w stanie zmusić ani ubłagać tych z góry o zmianę prycz. Nie było wody, nie mieliśmy się gdzie i czym myć, nie było jak wyprać i wysuszyć pościeli. Toteż siedziałam z siostrą przeważnie na naszej przycy i patrzyłyśmy w brudne zakratowane okienko lub ona czytała mi książeczki, które wzięła ze sobą, a ponieważ było ich niewiele, wkrótce więc znałam je wszystkie na pamięć. Jedna szczególnie utkwiała mi w pamięci. Nie pamiętam ani autora ani tytułu, pamiętam tylko jej wygląd. Była bowiem pięknie wydana, w sztywnych okładkach z kartonowymi kartkami, z prześlicznymi ilustracjami do wierszyków o kwiatkach przedstawionych jako małe dziewczynki. Jeden taki wierszyk do dzisiaj pamiętam, bo poruszył mnie bardzo:

O biedne kwiatki, straszna rzecz

Ktoś zerwał je i rzucił precz.

Powiędłe leżą pośród pól

a nimi wielki targa ból

a rycina przedstawiała małe, splakane, o zboliałych twarzyczkach i załamanych rącz-

kach dziewczynki. Ach, jakaż to była piękna książeczka. Tato kupił ją Maryni, bo od najmłodszych lat czytała dużo i chętnie.

Czytała mi więc tak długo, na ile pozwalała latarnia zawieszona wysoko u sufitu nad palącym się piecykiem. Kiedy było zbyt ciemno na czytanie, mówiłyśmy z pamięci to, czego nauczyłyśmy się przedtem.

Dorośli zwłaszcza mężczyźni, siadali przy „kozie” i snuli różne przypuszczenia: dokąd, po co i dlaczego nas wywożą. Jedni napadali na Rydza Śmigłego, inni go bronili, niektórzy żalowali Piłsudskiego i mówili, że gdyby żył, nie doszłoby do kłęski. Inni zarzucali Marszałkowi różne winy i niekonsekwencje. Wszyscy byli jednak przekonani, że wiozą nas na Sybir.

Tato nie pozwalał nikomu złego słowa powiedzieć na ukochanego Komendanta, a ponieważ tato go kochał, więc my też. Nawet miałyśmy takie samo zdjęcie na kolanach taty, jak Wandzia i Jagódka z Marszałkiem - ich ojcem.

Niewiele z tych rozmów rozumiałam, nie rozumiałam też i tego, dlaczego zabrano nas z naszego domu, gdzie byliśmy „zawsze”, załadowano jak bydło i powieziono w nieznaną.

Smutkiem i przerażeniem napawał nas płacz i zawrodoenie lokomotyw. Ich zmianę poznawaliśmy po gwizdkach. Ludzie mówili, że one płaczą nad naszą dolą. W zamarznętym okienku widziałam mijane miasta i wsie, pola i lasy, a wszystko było dla mnie obce i nieznanne.

W tym smutku i monotonii zdarzały się niekiedy scenki zabawne. Naprzeciwko część przycy zajmowała rodzina z dwoma małymi chłopcami. Młodszy nazywał się Edzio. Był bardzo pocieszny. Zakładał pas swojego ojca, brał czapkę i wołał, że jest Edward Śmigły Rydz i krzyczał „baczność”, „czapki z głów” itd. Czasami biedny „Śmigły” dostawał tym pasem lanie, gdy nie chciał iść spać. Ojciec Edzia zapalał i gasił latarnię w wagonie. Pewnego wieczoru jak zwykle, zgasił latarnię, ale Edzio wcale nie

chciał spać. Zaczął prosić „Tato, tato zapal lampę” - lecz ojciec nie odzywał się. W końcu, po którymś tam razie ojciec powiedział: „Śpij synu, nie ma lampy”. A Edzio z płaczem: „Jest, jest wisi nad „kozą”. - To nie lampa, to torba” - odpowiedział ojciec. A wtedy Edzio rezolutnie: „Tato, tato zapal torbę”. Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Choć powoli, to jednak zostawialiśmy za sobą Polskę i zbliżaliśmy do rosyjskiej granicy. Częste były postoje i przestoje, dłuższe i krótsze, przewidziane i nieprzewidziane. Wtedy *strielki* otwierali drzwi i wołali: *Progulka, progulka*. Mama tłumaczyła, że to spacer. „Biegnijcie rozprostować kolanka” - mówiła do nas - „a nie zgubcie się tylko”.

Wybiegaliśmy, ale oczy, nawykłe do ciemności, piekły i bolały, łzały od patrzenia na iskrzący się śnieg. Było nam zimno. Spotykaliśmy znajomych i z przerażeniem patrzyliśmy na siebie - my na nich, oni na nas. Wszyscy wyglądali jak brudne, wychudzone diablęta z zaropiałymi, czerwonymi oczami. W milczeniu i smutku wracaliśmy do swego wagonu.

Tato stawał się coraz smutniejszy i cichszy. Siedział na pryczy, brał nas z siostrą na kolana, przytulał głowę do naszych policzków i mówił o Polsce, a czasami cicho wzdychał. Wtedy nauczył nas kochać Polskę. Mówił o swoich ukochanych Tatrach, o Gdyni, o morzu i o umiłowanym Wołyniu, o Komendancie, dzięki któremu stał się panem... i zesłańcem. O tym, jak mężnie bili się żołnierze o Polskę, o Gdańsk i Westerplatte, dowiedziałyśmy się od taty w bydlęcym wagonie, gdy wieziono nas w nieznaną, na zagładę.

Postoje były również i po to, by wynosić z wagonów trupy, bo niestety ludzie umierali. Czasami wynoszono kobiety, które miały lada moment rodzić. Wtedy po raz pierwszy słyszałam krzyki rodzących kobiet. Na noszach zobaczyłam naszą dalszą sąsiadkę panią Nadię. Zawieziono ją do

szpitala na poród, ale *na posiolek* przyjechała bez dziecka. Umarło. Przeważnie dosyłano kobiety do mężów *na postolki*, ale bez noworodków. Podobno wszystkie umierały. Zresztą jak mogły żyć?

Nareszcie dojechaliśmy do Zdołbunowa. *Strielki* biegali, walili kolbami w drzwi i kazali przesiadać się do rosyjskich wagonów. Znow zabraliśmy nasze brudne tobołki i wyszliśmy na siarczasty mróz. Tutaj spotkała nas wielka radość, bo gdy tak staliśmy na zimnym peronie, zobaczyliśmy naszych najbliższych sąsiadów Berchertów. Wszyscy - i my i oni zaczęliśmy prosić strażników, by dano nas do jednego wagonu. Zgodzili się. Zajęliśmy jeden wagon. Wydawało się nam, że jest tutaj czysto i przestronnie. Wagony nie różniły się od poprzednich: też były bydlęce z pryzkami, dziurą na ustępi i „kozą” po środku. Ale nam było wesoło i radośnie, bo Berchertowie byli razem z nami, to tak prawie jak na osadzie.

Mama trochę doprała pościel i nas doprowadziła do ludzkiego wyglądu. Nie trzeba też było bardzo długo czekać na ugotowanie zupy, bo co dwie rodziny do jednej „kozy”, to nie osiem. Największym szczęściem było dla nas to, że nie było z nami „ciotki”, której znie nawidziłam serdecznie. Nareszcie sami na pryczy, nareszcie nikt nie sypie śmieci na głowy, ani do talerzy, nikt nie paskudzi i nie leje. Co za ulga. Berchertowie mieli sporo dzieci, toteż zarówno my jak i bracia mieliśmy się z kim bawić, rozmawiać i czytać. Nasze lalki, książeczki i książki przechodziły od nas do nich i od nich do nas.

Granica polsko-rosyjska była tuż tuż. Wolno dojeżdżaliśmy do Szepietówki. Zapanowała głucha cisza. Wszyscy patrzyliśmy przez okna i drzwi na polskie słupy graniczne, wyrwany szlaban i przewróconą białoczerwoną rampę.

Nagle w tej absolutnej ciszy rozległ się śpiew „Pod Twoją obronę” i wielki płacz. *Strielki* walili kolbami i wołali: *priekrahit!*

*pienje, priekratit pienje.* W naszym wagonie płakali rodzice, płakali Berchertowie - więc my z siostrą, także... Znów lokomotywa szarpnęła z całą złością, rozpaczliwie zawyla „u-hu, hu” i pojechaliśmy już nie po polskich torach i nie po polskiej ziemi...

Rodzice bardzo się zmienili. Mama i tato prawie się nie odzywali. Mama często płakała, tato sadzał nas na kolana i uczył „Polski”, recytował wiersze i nucił drogie jego sercu legionowe piosenki.

Wtedy nie zastanawiałam się nad tym, bo jak każde dziecko uważałam, że mój tato jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie, lecz teraz zapytuję sama siebie: skąd mój tato znał tak dobrze historię Polski, kiedy i gdzie się nauczył tego wszystkiego? Kiedy posiadał tę ogromną wiedzę? Pamiętam że miał piękną bibliotekę, prenumerował czasopisma, ale przede wszystkim uprawiał ziemię, kiedy więc się uczył?

Pamiętam nasze wieczory w domu. Mama coś cerowała lub przeglądała naszą odzież, bo na chłopcach „palilo się”. Nowa rzecz otrzymana rano, wieczorem wyglądała jak dziadowski łach. Miała mama zawsze pełne ręce roboty. Tato brał książki i czytał nam na głos. Ja, co prawda, bawiłam się w kątki swoimi lalkami, ale mama słuchała uważnie. Do mojej głowy też coś tam wpadało.

Nasz tato umiał wszystko zrobić. Tylko u nas było radio. Było ich zresztą kilka. W całej osadzie widoczne były nasze wysokie tyczki od anteny. Te radia tato sam konstruował i doskonale odbierały program z Warszawy czy Lwowa. Wieczorami na wiadomości przychodzili do nas sąsiedzi. Tato lubił, gdy chłopcy interesowali się tym, co robił. Najzdolniejszy był Emil. Nawet jak coś popsuł „pomagając”, nigdy tato go nie skarcił.

Kiedyś rozłożyłam na drobne czynniki kryształkowe radio, bo Genio powiedział, że w środku siedzi człowieczek i mówi to wszystko, co słyszymy. Chciałam bardzo

zobaczyć tego człowieka i radio już się nie „złożyło”. Bałam się strasznie i cichutko powiedziałam mamie. Mama tacie, a tato roześmiał się: „Zuch dziewczynka, zawsze bądź taka ciekawa” i pogłaskał mnie po głowie.

Gdy siostra poszła do szkoły, ja chodziłam nadasana po podwórzu i nie wiedziałam, co robić, bo gorąco. Mama radziła abym zaniósła najmitom jedzenie i picie, ale nie chciałam iść, bo żalowałam nowych pantofelek. Zobaczyłam, że stary Koziół poszywa snopkami dach na chlewie, podeszłam i spytałam, czy coś chciałby ode mnie. Poprosił o picie. Pobiegłam do domu i mama dała mi kwaśne mleko w dzbanku. Szczęśliwa przybiegłam i podałam mu pełną dumy, że mogę się przysłużyć. Koziół wziął dzbanek, przechylił i pił, aż mu po brodzie kapąło.

- O dobra jesteś, rośnij wielga, jak tycka, co tam stoi (chodziło o tyczkę od anteny).

Cała radość z dobrego uczynku przysła. Byłam bardzo wrażliwa na swoim punkcie. Chciałam być najpiękniejsza i najmądrzejsza, a tu taki „komplement”. Z opuszczoną główką usiadłam na ławce koło wiśniowego sadu i płakałam, zawsze płakałam cichutko, wstydziałam się płakać głośno. Nadszedł tato i spytał kto mnie skrzywdził. Poskarżyłam się tacie na „pochwałę” Koziola. Mój kochany tato poderwał mnie jak piórko i podzrucając do góry poradził:

- Trzeba było mu odpowiedzieć - A ty stary żebyś zgarbił się we dwoje.

Bardzo mnie podniosło na duchu, chciałam powiedzieć Koziolowi to następnym razem, ale już nie nadarzyła się taka okazja.

Bałam się rozbić nos, bo mama mówiła, że jak będę ciągle biegać i padać, to rozbiję nos i zaden chłopiec mnie nie zechce, gdyż będę brzydka. Dbałam o sukienczki, o buciki, o nos, o kolana, ale bardzo krótko, tylko wtedy, gdy sobie o tym przypomniałam. Niestety, zapomniałam bardzo szybko

o nowych rzeczach, bo nowymi były przez dzień-dwa. Miałam zwyczaj swoje nowe rzeczy zabierać do łóżeczka i spać z nimi, nie ważne czy były to buciki, sukienka czy rękawiczki. Potrafiłam w nocy wstać i sprawdzać czy nie pospadały z łóżeczka. Starych i brudnych bucików nie czyściłam, bo nie lubiłam tej roboty. Jeżeli mi kazał Genio lub Euzebiusz robić to, z płaczem szłam do mamy i skarżyłam się, że ja jestem „pańskie dziecko”, a oni zmuszają mnie do roboty, a pora taka, że „powinnam” już spać. Mama uśmiechała się i mówiła, że faktycznie czas już najwyższy, abym poszła spać. Buciki czyścił mi Iwaśku nawet nie dlatego, że mu mama kazała. Wtedy nas lubił, a mnie szczególnie.

Gospodarka była olbrzymia i - jak sięgnę pamięcią - zawsze coś kalekiego wychowywało się u nas, nigdy nie zabijano tych zwierząt. Siostry i moim obowiązkiem było opiekowanie się tymi ofiarami losu. Raz było to cielę, innym razem kurczak z nóżką wyrwaną ze stawu, bo mu krowa nastąpiła na nią. Jeszcze innym razem było pisklą kawki, które wypadło z gniazda lub znaleziony zajączek. Zawsze czymś należało opiekować się. Nie było wolno niczego zabić. Psy i koty umierały własną śmiercią ze starości lub choroby. Moja i siostry opieka nie była najdoskonalsza. Z tymi „kalekami” też nam nie wyszło, no bo cielaka trzeba było w końcu sprzedać Żydowi, kurczaka do reszty zdeptała krowa, a my kopaliśmy „grobek” i płakałyśmy nad dolą nieszczęsnego. Emil siedział na płocie i dokuczał nam, że biedny kurczak miał trzy matki i dobrze, że krowa wybawiła go spod takiej opieki. Za to kawka tak się rozpanoszyła, że podczas obiadu łąziła po stole i nie pozwalała się spędzić. Gdy czyjaś ręka wysuwała się aby ją zrzucić odwracała się błyskawicznie i z całej siły waliła w nią dziobem. Zajączek wychowywał się z... psami. Kiedy wynoszono jedzenie psom, zajączek pierwszy dopadał miski i zjadał. Gdy zaczynało padać i psy chowały się do

mieszkania lub budy, zajączek chował się razem z nimi...

Tyle było cudownych wspomnień z „chwilki” jaką przeżyłam na Wołyniu z moimi najlepszymi pod słońcem rodzicami.

W wagonie nie było zimno, bo w piecyku paliło się całą dobę.

„Spacery” przy pociągu nie trwały dłużej niż dziesięć minut. W naszych paletkach i bucikach nie sposób było wytrzymać dłużej.

Jechaliśmy bez końca. Mijaliśmy miasta i wsie, lecz rzadko w dzień, zwykle w nocy. Krajobraz również stawał się coraz smutniejszy i coraz bardziej obcy.

Jakos zdarzyło się raz, że w dzień zatrzymaliśmy się w mieście. Słychać było głośnie bicie dzwonów i widoczne były kopuły cerkiewne. Mama wychyliła się i spytała, co to za miasto, jakaś kobieta powiedziała, że Woskresieńsk i że jesteśmy sześćdziesiąt kilometrów od Moskwy. Chcieliśmy zobaczyć Moskwę, ale nie dowieziono nas do niej. Znów pojechalibyśmy pustymi „bezdrożami”.

Czasami staliśmy po kilka lub kilkanaście godzin bez powodu w szczerym polu czy głuchym lesie. Nigdy nie było wiadomo, jak długo pociąg będzie stał i kiedy ruszy. Jeżeli zatrzymywaliśmy się we wsi lub miasteczku, to biegaliśmy po *kipiatok*, bo na każdej stacji był za darmo. Braliśmy ten wrzątek w co kto miał i biegaliśmy z powrotem, byliśmy nie tylko spragnieni czegoś gorącego lecz woda służyła także do mycia i prania. Już prawie niczego czystego nie mieliśmy w zapasie.

Kiedyś mama odsunęła przykrywkę nad kotłem i omal nie zemdląła. W gotującej się wodzie przewracały się długie, białe glisty. Od tego zdarzenia przestała pić herbatę.

Bardzo bałam się wychodzić z wagonu, bo obawiałam się zgubić lub nie zdążyć na czas do pociągu. Zdarzało się, że pociąg ruszał zniemacka i wtedy wszyscy biegli z powrotem bez *kipiatoka*, aby dopaść swego wagonu lub zaczepić się, gdzie kto mógł.

Dzieci płakały, dorośli wymachiwali rękami i nogami i wołali, aby maszynista zatrzymał pociąg, bo mnóstwo ludzi zostało. Wielu ludzi pogubiło się, byli dosyłani do *eszelonu*, a ile było rozpacz, ile tragedii, to tylko my wiemy.

Głupi, bezmyślni *strielki* stojący na stopniach swoich stróżówek śmiali się i wołali: *biegi, biegi bystreje!*. Była to dla nich swego rodzaju rozrywka w ich monotonnej służbie - pilnowaniu nas.

Nie wszyscy tak się zachowywali. Niektórzy płakali ukradkiem razem z tymi, od których wnoszono nieboszczyka. Jeden powiedział tacie, że jego matuszka już od trzech miesięcy nie wie, gdzie on się podziewa, bo nie ma jak wysłać listu. Stopnie do ich stróżówek były pokryte grubym lodem i śliskie, musieli więc bardzo uważać, aby przy wskakiwaniu nie wpaść pod pociąg.

Z jednym z konwojentów tato nawiązał „rozmowę”. Chłopiec był inteligentny i bardzo grzeczny. Mówił, skąd pochodzi i że ma już ukończoną *diesiatiletku* i pójdzie na studia. Tato widział, że on ledwo stoi na zmarniętych stopniach, podał mu siekierę i łopatę, aby oczyścić je. Ucieszył się jak dziecko. Na postojach chętnie rozmawiał z tatą lub biegał z nami. Obie z siostrą już zaczęłyśmy go lubić i czekałyśmy z niecierpliwością, by wyjść do naszego Borki. Ale znów spotkało nas rozczarowanie, a zaskoczenie odjęło mowę. Na pierwszym postoju wybiegłyśmy i zapukałyśmy do stróżówki, drzwiczki otworzyły się i zobaczyłyśmy ospatego gburą. Borki nie było. Tato

spytał, gdzie się podział poprzedni wartownik, ale *strielok* rozdziawił gębę i spytał: *czivo tiebie?*. Tato wziął nas za ręce i poszliśmy z powrotem. Potem do mamy powiedział: „Biedny chłopiec, odpowie za to, że był człowiekiem, szkoda dzieciaka”.

Czasami na sąsiednich torach zatrzymywały się *eszelony* z żołnierzami radzieckimi. Jechali, jak my, w towarowych wagonach, ale drzwi ich były pootwierane, a oni grali na harmoszkach, śpiewali, żartowali, pytali nas, skąd i dokąd jedziemy. Litowali się nad nami, przez nasze zakratowane okienka podawali nam *prianiki* i „pierożki”.

Jechaliśmy ciągle na północ, dalej i dalej od Polski. Minęliśmy Woroneż, Wołogdę, Kirów, Murasze i wiele innych miast i wsi.

Po niekończącej się podróży i męce dotarliśmy do dość gwarne go miasta.

\*

Wysiedliśmy z pociągu i po ciemnym wagonie oświetlone i gwarne miasto zrobiło na mnie wrażenie. Stacja wydała mi się olbrzymia z dużą ilością spoconych i sapiących lokomotyw i wypisanym wielkimi literami hasłem sławiącym wielkiego ojca potężnego Sowieckiego Sojuza - Stalina. Pieszko, wymęczeni, niepodobni do ludzi przeszliśmy z tobołami do specjalnie przygotowanej dla nas szkoły... Rozlokowaliśmy się znów na pryczach i czekaliśmy na dalsze losy. Rano mama powiedziała: „To miasto nazywa się Kotłas. Jesteśmy już tysiące kilometrów od domu. Czy kiedyś wrócimy?”...

*Ciąg dalszy w następnym numerze KS*

*Szanowni Państwo*

*Pragniemy poinformować Państwa, iż ciesząca się dużą poczytnością książka Felicji Konarskiej „Liście na wietrze” została wydana po raz drugi przez wydawnictwo „Leliwa” w Warszawie i jest do nabycia w księgarniach.*